Lwów, 5 Maja. №53. Rok 1855.

NOWINY

Wychodza we *Wtorek, Czwartek* i *Sobote*. We Lwowie prenumerata roczna 6 Złr. półr. 3 Złr. kwartał. 1 Złr. 30 kr miesieczna 40 kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztowa rocznie 8 Złr. — półrocznie 4 Złr. — kwartalnie 2 Złr. m. k. Ryciny mód kwartal. 1 Złr.

WIENIEC CIERNIOWY.

Rozdział VIII.

PIERWSZE WYZNANIE.

(Ciąg dalszy.)

I tak to wszystko ułożyć mu się udało, że zupełnie z siebie zadowolony, jakby plan doskonały, w własnej ułożył sprawie, wyskoczył lekki i jakby o trzydzieści lat młodszy, z powozu, i wchodząc do zamku przelotne spojrzenie rzucił w małe źwierciadełko, które zawsze nosił przy sobie. Wszystko szło dobrze, bo nawet wyraz twarzy był najdoskonalej zastosowany; wyglądał poczciwy szambelan cały jakby grubo obiecująca przemowa, przyczepiona częstokroć do bardzo nieważnego dzieła.

Ledwie wszedł do pierwszego pokoju krokiem wymierzonym powagę i zamyślenie zdradzającym, gdy się nagle otworzyły drzwi, i ze środka pokoju, wybiegła Antosia żywym krokiem, z wyrazem na twarzy i w oczach jakiejś tak lubej i swawolnej niecierpliwości, że w tej chwili szambelan zapomniał o przybranej missyi, i wolał podziwiać tę rzeczywiście szczególną, uroczą pięknością obdarzoną dziewicę. Wiemy bowiem że już z dzieciństwa miała śliczne i regularne rysy, płeć cudownie białą, a mianowicie oczy ciemno szafirowe, łyskające z poza zasłony długich jedwabnych rzęsów. Wszystko to zostało, wypełniło i zaokrągliło powabem dorastającej dziewicy, z dodatkiem kibici wzniosłej kształtnej, i tak giłkiej i powiewnej, że ta dodawała do wdzięków niewieścich jakiś urok nadziemski prawie. Mianowicie zaś wyraz całej twarzy, uśmiech ust i jasne a przenikliwe oczów spojrzenie, miały coś czarowniczo pociągającego; była tam bowiem i spokojna a naiwna wesołość młodego dziewczęcia, i jakaś z głębi duszy dobywająca się myśl wszystko zda się pojąć zdolna, i było uczucie, które zdawało się wypływać prosto z serca.

Postrzegłszy szambelana, cofnęła się zmieszana nieco, nagły rumieniec przebiegł przez lica, i niemogła się wstrzymać od półwykrzyknika, który nie koniecznie był pochlebnym dla wchodzącego.

— Kuzyneczka kogoś innego spodziewała się? zapytał szambelan, przekabacony już zupełnie na stronę kochanków widokiem ślicznego rumieńca.

Rumieniec ten pociemniał przez chwilę, lecz wnet zaśmiał się koło ust uśmiech na pół pusty.. i ozwała się głosem, który był dźwięcznością swoją i słodyczą razem w zupełnej harmonii z całą powierzchownością tej pięknej dziewczyny.

— A gdyby i tak było!

— Nicby mi nie pozostało tylko żałować, żem tego kogoś innego nie przywiózł ze sobą.

— A kogoż?..

— Myśli kuzyneczka że niewiem...

— Jaki domyślny! urągała dziewczyna; a oczy jej iskrzyły się jakby dwa szafiry cudnej wody.

— Załóżmy się!

— O co?

— O jeden całus, który i tak należy mi się jako krewnemu i to jeszcze w moim wieku, przy każdem przywitaniu. Nieprawdaż? Czy idzie zakład?

— Idzie! idzie! zawołała dziewczyna głosem jeszcze więcej ożywionym i szybko przyskakując do szambelana przelotnym obdarzyła go całusem. Zgadłeś kuzynku! masz całusa a teraz idź do mamy prędko.. w szczęśliwą przyjechałeś godzinę.

Co rzekłszy z niemałem zadziwieniem szambelana wypchnęła go prawie do dalszych pokoi, i zamknęła drzwi za nim. Szambelan mimo całej swojej światowej zgrabności, i mimo całego doświadczenia, szedł jak głupi, i niemógł zrozumieć tej całej sceny, a przynajmniej we wszystkich jej szczegółach.

Nic dziwnego, bo wypchnięty za drzwi, niemógł widzieć, jak Antosia w chwili gdy przyskakiwała do niego, postrzegła przez okno na dziedziniec wychodzące, znanego sobie siwosza, i serce jej zadrzało tem mocniej, że niechciała się zdybać z Witołdem przy obcym człowieku, bo ona dziś właśnie wiele, bardzo wiele miała mu do powiedzenia. Przedewszystkiem miała się z nim wykłócić, i to wykłócić jak nigdy jeszcze, bo tydzień blisko nie był w Słobódce, a tydzień u ludzi młodych wydaje się niezmierzoną przestrzenią, gdy go rachują przyspieszonem biciem serc swoich. Ledwie wyszedł szambelan, wszedł Witołd z wyrazem niezwykłego pomieszania na twarzy, prawdziwego pomieszania wszystkich najsprzeczniejszych uczuć, jakie nim przez te dni kilka miotały, a między któremi najsilniej odbijała się trwożliwa, dziewicza prawie nieśmiałość. Biedny młodzie-

niec, on tej chwili pragnął jakby zbawienia, a bał się tej chwili jakby potępienia.

Lecz chodźmy najprzód za szambelanem. Przed ostatniemi drzwiami zatrzymał się, aby jaką taką przybrać minę do okoliczności zastosowaną; lecz dziewczyna tak mu szyki popsuła i tak go wysadziła z ciężko przybranej równowagi, że wszystkie natężenia jego na to tylko posłużyły, by wszedł do saloniku pani Wolińskiej z wyrazem tak pociesznie skrzywionym, iż omal pani Krystyna choć zupełnie do śmiechu nie zdolna, nie spytała go: „ażali go brzuch nieboli?»

Przywitanie szambelana było dłuższe i ceremonialniejsze niż zwykle, bo już samem przywitaniem chciał kierunek przygotować do ważnej dyskusyi jaką miał odbyć. Było więc w niem i o radości że ją widzi, i o smutku, że ją tak długo nie widział, i o chęci szczególnej jaką miał widzieć ją najprędzej, aby ją jako kuzynkę odwidzić, i z nią jako z kuzynką pomówić, tem więcej że zdaje mu się być obowiązkiem być względem niej z całą szczerością przynależną tak zacnej i rozsądnej kobiecie, a zarazem kuzynce, do której samo już przywiązanie na szacunku ugruntowane, pociąga go, i nakłada na niego obowiązek żeby, iżby.. właściwie.. w rzeczy, która jego jak najmocniej obchodzi.. gdyż jakkolwiek.... Jednem słowem uciął galimatasz przywitalne, na jakie się jeszcze nigdy nie zdobył, chociaż cała jego metoda grzecznie witająca trąciła zawsze po owoczesnej modzie galimatyjaszem. Szczęściem że pani Wolińska nadto już była przyzwyczajona do frazesomanii kochanego kuzynka, aby chciała szczególnego jakiego wyszukiwać sensu w tych długich i zawikłanych peryodach.

— Cieszy mnie niezmiernie, że przyjechałeś kochany szambelanie, bo właśnie chciałam pomówić z tobą.. ale czy sam tylko przyjechałeś?

— A sam! odrzekł szambelan coraz więcej zbity z pantałyku przez córkę pierwiej, a teraz przez matkę przyjmujących go jednakowo prawie.

— Nieprzywiozłeś go? pytała dalej.

— Nie! zaczął i urwał, a usta otworzył najpocieszniej. Co u kaduka! pomyślał szambelan w duszy; miałyżby obie kochać się w nim. A tom w ładny wlazł pasztet... Co tu mówić, jak rzecz traktować? aby ze Scylly nie wpaść w Charybdę.. Szczęśliwy chłopiec.. zupełnie jak ja byłem dawniej!.. żeby to można przypomnieć sobie to podobieństwo.

— I nie widziałeś go szambelanie?..

— Właściwie niewiem o kogo mnie asani dobrodziejka pytasz.

— A o Witołda przecie! odrzekła brygadierowa najnaturalniej i bez zmieszania.

— O kobiety! kobiety! pomyślał uczeń Wolterowski, i westchnął tęskno.

— Widziałam go! przed kilkoma dniami był u mnie na chwilę i znikł jak łyskawica.

— Ale zdrów?

— To jest właściwie! właśnie! Nie wiedział jak dalej mówić, zaambarasowany nowem odkryciem.

— Może słaby? pytała dalej z wyrazem trwogi.

— A jak go kocha! pomyślał zgłupiały szambelan.

— Nie uważałem tego! powiedział głośno.

— I czemuż tak dawno nie był u nas?

— Właśnie chciałem.... powiedzieć.... to jest zapytać się.....

— Antosia taka niespokojna o niego...

To już do reszty dobiło szambelana. Kocha go.... nie zazdrośna... to było nad jego pojęcia zwykłe..

— I on był niespokojny, bo... ale myślałem właśnie że go tu zastanę, gdyż.. chciałem nawet kochanej kuzynce.....

— Może zaraz nadjedzie, bo Antosia wyprawiła do klasztoru aby się dowiedzieć co to znaczy.

— On był zdrów, ale smutny.. i ledwie mi kilka słów powiedział..

— Smutny? dla czegoż?

— W jego wieku, smutek bywa potrzebą budzącego się serca młodego; zagadł szambelan rad że mu się udał taki zwrot.

— A jakie poczciwe on ma serce... nieprawdaż?

— Szczerze przywiązujące się.... i prawdziwie przykro mi to, że może jego zamysły nie udadzą się, bo słowo honoru daję, ja go bardzo kocham....

— Ty go kochasz szambelanie? poczciwy, dobry kuzynku... zawołała biedna matka, a głos jej był pełen tak serdecznej czułości, że szambelan musiał zajrzeć do tabakiery. Lecz o jakichże to jego mówisz zamysłach?

— Ha! pour vous dire enfin! on kocha się!

— Kocha się! w kim? mówże kuzynku w kim? zapytała go z wyrazem tkliwej ciekawości niepodobnym do oddania.

— Diable! pomyślał znowu szambelan; otóż masz! co tu powiedzić? jeżeli ona go także kocha?

— Mówże kuzynie!

— Vogue la galère! mruknął po cichu. W Antosi! dodał głośniej, i włożył rękę do kieszeni szukając flakonu z octem trzeźwiącym, który przywiózł z sobą.

Jakież było zadziwienie jego, gdy na te słowa zerwała się pani Wolińska, twarz jej niezwykłą łysnęła radością, i porwała szambelana za obie ręce ściskając je serdecznie.

— Dzięki ci za tę wiadomość; i Antosia go kocha jak mi się zdaje.. mogliby być szczęśliwi.. i on byłby moim synem! synem! synem moim! czy rozumiesz kochany szambelanie...

— Rozumiem! odrzekł szambelan, ale skłamał najoczywiściej, bo teraz właśnie ani słowa nie rozumiał..

— Umarłabym szczęśliwa!

— To ślicznie! ja prawdziwie niespodziewałem się, że

kuzynka tyle okaże rozsądku na punkcie przesądów o urodzeniu..

— Urodzeniu! zawołała namiętnie brygadierowa. Cóż on winien temu; biedny Witold.. i pan jesteś przeciw niemu...

— Ale na Boga!.. ja nie.. je l'aime baucoup ce garçon.... i przysięgnę, że na końcu to przeczucie moje, ten głos krwi..

Uśmiechnęła się pani Krystyna mimowolnie na te słowa.

— Właśnie dlatego że wiem ile go kuzyn kocha, chciałam się widzieć z tobą szambelanie i poradzić się... bo ja przeczuwałam to ich uczucie.. poczciwe dzieci! Boże! Boże! daj mi tego szczęścia doczekać!

— Ponieważ pani nic niema przeciw temu.

— Ale jak to zrobić?

— Ja miałem myśl!

— I ja także!

— Mógłbym adoptować go...

— To moja myśl także! szambelanie kochany! ty jesteś poczciwy, dobry jak anioł... nigdy... nigdy ci tego nie zapomnę... Lecz jakże to zrobimy...

— Nic łatwiejszego!

— Słuchaj kuzynie! przerwała nagle pani Wolińska, to oni! to on już przyjechał..

— Heureux coquin! mruknął szambelan mimowolnie przypominając sobie wiek swój własny.

W tej chwili ozwał się w pobliskim salonie bawialnym głos fortepianu. Po krótkiej przegrywce smętnej, drzącej i przelotnej, ozwały się głosy młodych ludzi. Śpiewali ulubioną jakąś owych czasów piosnkę trubadurową, jak je umiała tworzyć piękna i nieszczęśliwa królowa Hortenzyja. Głosy obojga, młode, dźwięczne, zlewały się razem w harmonią pełną uroku i świeżości.

Matka słuchała w zachwyceniu, aż ręce złożyła jakby do modlitwy, i szambelan się rozczulił niepospolicie... Gdy ustała muzyka kilkakroć przerywana, brygadierowa i szambelan mówili dalej o sposobach adoptowania Witołda i połączenia go z Antosią.

Przejdźmyż teraz do młodych ludzi i posłuchajmy ich rozmowy.

Antosia skoro postrzegła wchodzącego Witołda, podbiegła ku niemu, i przemówiła głosem na pół czułym, na pół surowym:

— Pięknie! bardzo pięknie panie Witołdzie! sześć dni nie przyjeżdżać, i uczennicę i nauczycielkę porzucić; aż musiałam wyprawiać posłańców.... gdyby nie Rózia poczciwa która wyprawiła swego przyszłego...

— Panna Antonina daruje... ale... zaczął i urwał bledniejąc okropnie, bo usłyszawszy ten głos tak dobrze znany że mu zda się śpiewał w uchu bez ustanku, bo ujrzawszy tę twarz głęboko w sercu wyrytą, uczuł że prędzej od życia jak od niej oderwać się może. Wszakże na pierwsze jej wezwanie, mimo świętego postanowienia, przybył do Słobódki.

— A to ślicznie! teraz już jestem panną Antoniną! zawołała dziewczyna wpatrując się z coraz większą uwagą w twarz jego.

— Wszak panna Antonina pierwsza nazwała mnie panem Witołdem.. więc ja myślałem... i nie śmiem...

— Mnie było wolno tak ciebie nazwać, bo ja miałam prawo gniewać się, i nazwałam cię panem za karę... ale ja nic nie przewiniłam, ja na karę nie zasługuję.. Ja sześć dni tęskniłam!

— Tęskniłaś?! Antosiu!

— I pyta się jeszcze! Uśmiech miała na ustach, a dwie łzy jak dwie perły zabłysły w oczach.

— I ja tęskniłem... tęskniłem okropnie!

— Co tobie jest? zawołała dziewczyna, i porywając go za rękę patrzała z uwagą, w bladą twarz, w oczy poczerwienione od łzów i bezsenności.

— Smutny jestem! smutny! powiedział tak żałośnie, a przycisnął piersi z wyrazem tak boleśnym, że te pierwsze dwie perły w oczach Antosi, stały się początkiem drugich łez, co się perłowym posypały sznurkiem.

— Ty smutny Witołdzie! i ja potrzebuję pociechy...

— Pociechy? zawołał przestraszony młodzieniec.

— I wyglądałam ciebie... a tyś nie przybywał!

— Cóż się stało; mów Antosiu na miłość Boga! uspokój mnie!

— Był tu młody Wenda!

— Artur!... i co...

— Oświadczył się o rękę moją...

— O twoją rękę! on!

— A cóż to? czyliż ręka moja nie godna oświadczenia! przerwała dziewczyna, próbując uśmiechu tak smutnie odbijającego się od łzów w oczach.

— A więc przyjęła... panna Antonina!

— Bez twojej rady! mój bracie odrzekła dziewczyna z uczuciem; lecz dla czegóż przy tem słowie brat, uczuła po raz pierwszy mocniejsze serca bicie, uczuła gorętszy rumiemieniec na twarzy?

— Więc tylko idzie o radę moją! Pan Artur bogaty!

— Witołdzie!

— Pan Artur przystojny!

— Witołdzie!

— Pan Artur dobrze urodzony!

Witołdzie! nie urągaj mi! możem się źle wyraziła, ja go nie cierpię, ja go nienawidzę, i nigdy nie będę żoną jego, chociaż mi powiedział, że ma mego ojca za sobą.

— I cóż zrobisz?

— Czyliż niemam ciebie! ty mnie wyratujesz, choć by mnie wszyscy opuścili... nieprawdaż?

— Całem życiem, wszystką krwią!

— Tylko miłością! szepnęła dziewczyna ledwie dosłyszanym głosem.

— Czyliż ja ciebie nie kocham Antosiu!

— Kochasz mnie Witołdzie!

— Kocham! kocham! ale...

— Ale?

— Antosiu! ja cię muszę porzucić!

— Mnie? ty? dlaczego?

— Bo cię kocham!

— Bo mnie kochasz! Witołdzie! ja ciebie nie rozumiem.

Kłamała najniewinniej. Ona już poczynała choć w części rozumieć. Artur oświadczeniem swojem dosyć niezgrabnie i ogniście wyrażonem, otworzył jej oczy.

— Jeżeli mnie kochasz!

— Jeżeli? mów dalej!

— Jestem już wyratowana! szepnęła cichutko, i spuściła oczy, a była w tej chwili cudownie piękna z tym rumieńcem na twarzy, najpiękniejszym kwiatkiem wstydu, pierwiosnkiem miłości.

— Antosiu! zawołał młodzieniec.

— Witołdzie! odrzekła dziewczyna.

Spojrzeli sobie oko woko, i już niebyło siły, któraby wstrzymała to pierwsze wyznanie, co im z serca niewstrzymanie biegło.

— Kocham ciebie!

— I ja nad życie!

Szepnęli tuż koło siebie, tak blisko, że reszta wyszeptanych słów znikła pocałunkiem między ich ustami. Jeżeli to wszakże był pocałunek, był on tak czysty i niewinny, jak czyste i niewinne są ich serca.

— A matka a ojciec! zaczął Witołd nieśmiało, bo mu sumienie głośne czyniło wyrzuty.

— My dotrwamy! odpowiedziała, a zapał niezwykły łysnął z oka. Byleś mnie kochał... ja będę...

— Ty będziesz!

— Twoją Witołdzie! twoją!

— Żoną! dorzucił Witołd. I oboje porumienili się zarówno, i oboje spłakali się rzewnie ostatkiem łez dziecinnych; z poza których łysnęła na ich twarzach cudowna tęcza najpiękniejszej, pierwszej wiosennej miłości.

I dzieci jeszcze zaczęli szczebiotać o przyszłości, jakby dwa młode ptaszki po raz pierwszy z gniazda w niebo ulatujące. I poczęli tworzyć plany najrozmaitsze, a wszystkie się im udawały, a jeden był piękniejszy od drugiego.

— Słychać o wojnie zbliżającej się do nas! mówił młodzieniec.

— Ty pójdziesz Witołdzie walczyć za kraj?

— I okryje się chwałą... dla ciebie...

— Dla mnie! a ja ciebie czekać będę z wieńcem...

Niewiedzieć dlaczego przyszedł mu w tej chwili na myśl jego wieniec cierniowy.

— A jak zginę!

— Witołdzie ty nie zginiesz...

— Wszak to dla ojczyzny!

— Ja wierną! i tam się zobaczymy...

I wtenczas to pełni zapału usiedli do fortepianu, by zagrać i zaśpiewać ową polską pieśń z trubadorów naśladowaną:

D a j c i e ż m i d a j c i e ż, o j c ó w m i e c z r d z a w y....

WSCHÓD SŁOŃCA.

Cicho! ziemia spi jeszcze, jak oblubienica
Zwojami śrebrzystej gazy owioniona,
Ale coś musi goreć tam w głębi jej łona
Bo wstał wietrzyk pół senny ochładzać jej lica.

Pod gajem wód rozlew to ziemi źrenica,
Cicha, senna bez blasku we łzy roztopiona,
Z niej rzeczułka ze skały o skałę trącona,
Znika, łyska, zapada, jakby łez krynica.

Ziemio! strząś mgły zawoje! patrz wschód się płomieni!
Strzęsła łzy, oko błysło tysiącem promieni,
Wyjrzało jasne oko, to słońce kochanek!
Lecz wzrok jego jest spiekły żarami tęsknoty,
Ha! strzelił promyk ognia! to uczuć posłanek,
Jak dar z za morza błysnął drugi promyk złoty!

W. S.

Stan teatru polskiego we Lwowie.

Jak ważne miejsce zajmuje teatr w społeczeństwie dzisiejszem, nie potrzeba nawet dowodzić. Przystępny dla każdego stanu, staje się on ogniskiem z którego rozchodzą się promienie oświaty, w którym zachowuje się nareszcie jeden z największych skarbów każdego narodu, bo jego język ojczysty. Nic więc dziwnego, że wszędzie pieczołowitość zwracała się z serdeczną troskliwością ku utrzymaniu sceny narodowej na stopie jak najświetniejszej; większa nawet lub mniejsza teatru doskonałość jest zwykle zdaniem wszystkich skazówką stopnia miejscowej oświaty. Z tego stanowiska wychodząc, obowiązkiem jest sumiennej krytyki wyświecać stan teatru, i słabe jego wskazywać strony. Wtym względzie szczerość bezwzględna, nie oglądająca się na nic jest świętą powinnością, bo w tej kwestyi nie idzie zupełnie o szczególne osoby, ale o ogół. Tem więcej to u nas jest teraz na czasie, że widoczny jest upadek sceny polskiej, którą w jej stanie dzisiejszym ani porównać można do dawniejszej sceny, jak była przy wspólnym artystów zarządzie w starym jeszcze teatrze, a później pod kierownictwem ś. p. hr. Skarbka a nawet za czasów dyrektorstwa Pfeifra. Upadek jest widoczny, bo go dowodzi zwiększające się coraz zobojętnienie powszechności naszej, tak dawniej w teatrze zamiłowanej.

Jakie są tego widocznego upadku teatru przyczyny, rozebrać mamy tu na celu. W ogóle dobre lub złe

każdego teatru powodzenie zależy od dyrekcyi, której kierownik czy kierownicy są za nie odpowiedzialnemi przed sądem krytyki i publiczności. I nic nadto naturalniejszego bo niezaprzeczonym dyrekcyi jest obowiązkiem, dobierać artystów dramatycznych, umieć ich użyć stosownie do ich usposobienia, wpływać na ich grę i kształcić niejako kierunkiem umiejętnym nadanym ich talentom, niemniej także robić wybór między przedstawianemi utworami, i starać się o nowsze i lepsze między niemi; w ogóle zatem dyrekcya teatru jest przed powszechnością odpowiedzialna za cały kierunek artystyczny. Odpowiedzialność dyrekcyi tem jest większą, że gdy z jednej strony powinna się stosować do własnej publiczności, której niejako jest sługą, może i powinna z drugiej strony, jeżeli posiada wyższego ducha wpływać na ukształcenie powolne tej publiczności. Jestto nawet obowiązek nader wdzięczny bo się pomału tworzy między sceną a publicznością związek magnetyczny prawie. Scena i publiczność oddziaływają na siebie. Artyści na scenie doskonalą się samą chęcią podobania się sympatycznej publiczności, a publiczność natomiast nabierając coraz więcej smaku i znajomości w dziełach dramatycznych, zbierając się coraz liczniej, zapałem odwdzięcza się artystom a pieniędzmi dyrekcyi. Są to wszystko jak świat stare i tak wszędzie znane prawdy że nieśmielibyśmy je przytaczać, gdyby nie było widocznem u nas że upadek teatru pochodzić musi z winy dyrekcyi, dla tego już samego, że dyrekcya dzisiejsza nie pojmuje ani swego stanowiska ani swoich obowiązków. Do wiodła tego najmocniej gdy wyrzekła w sprawozdaniu, ten zbity nonsens jakby reżyser był odpowiedzialnym za część artystyczną reżyser który ani do wyboru sztuk nie należy, ani do obsadzenia ról.

Również dyrekcya stanowiska teetru lwowskiego nie zna gdy go w tem sprawozdaniu nazwała rezykownem przedsiębierstwem. Dyrekcya zdaje się zapominać, że tam o przedsiębierstwie ryzykownem prywatnego człowieka mowy być nie może, gdzie istnieje f u n d a c y a p u b l i c z n a s c e n y d l a p o w s z e c h n o ś c i. A przecież trudno myśleć, aby starając się o dyrekcyą sceny polskiej, dzisiejszy onej repezentant nie obznajomił się z tą najważniejszą przecie kwestją lokalną. Rzecz się tak ma. Fundacya hr. Skarbka uczyniona jest w ten sposób: przewidując że wydatki jego na utrzymanie dobrej sceny polskiej mogą przenosić dochody udał się ś. p. hr. Skarbek do Stanów Galicyjskich proponując im aby się one przyłożyły do utrzymania sceny polskiej, przez przeciąg trwającego przywileju, a on poniesie wszelkie straty, jakieby wypływały z utrzymywania na świetnej stopie teatru polskiego. Stany chętnie na to przystały, chcąc zabezpieczyć stałą i dobrą scenę polską, i przeznaczyły na ten zamiar więcej niż pierwej dawali (2000 złr.) bo ofiarowali 4000 złr. m. k. pod warunkami jakie sam ś. p. hr. Skarbek przedstawił, to jest, aby utrzymane były w teatrze lwowskim: tragedja, dramat, komedja wyższa i niższa i wodewile polskie i to o ile tylko być może najlepsze.

Jednem więc słowem mamy we Lwowie fundacyą hr. Skarbka zobowiązaną dać rocznie przedstawień **110** (nawiasem powiemy, że tego roku dyrekcya dała tylko **107** przedstawień) lepszych dramatów, tragedyi, komedyi, wodewilów, o ile być może najdoskonalej obsadzonych i odegranych. Biorący zatem na siebie dyrekcyą, mówi nieprawdę twierdząc że to jest rezykowne przedsiębierstwo, on przychodzi do warunków z fundacyi wynikających, i jest obowiązany wypełnić je z całą ścisłością. Jeżeli nareszcie jest co ryzykownego przedsiębiorstwa w tem, to tyczy się tylko dyrekcyi, ale dla powszechności niema przedsiębiorstwa, niema ryzyka żadnego, bo ona ma swoją zapewnioną fundacją, i ma prawo dopominać się jak najściślej o wypełnienie warunków tejże. Czy dyrekcya zarabia czy traci, to powszechności nic do tego, rzecz była dyrekcyi rozpatrzyć się w warunkach fundacyi, wypełnić je, lub nie przyjąć na się tychże warunków. Jest więc i słusznie oburzające to powiedzenie, że nowy kierownik dyrekcyi ryzykowne wziąwszy na się przedsiębiorstwo jest w prawie tyle tylko na scenę polską wydawać, ile mu się wydać podoba. Powszechność ma prawo żądać aby warunki fundacyjne zostały wypełnione, a dyrekcya powinna je albo wypełnić choćby najwięcej traciła, albo ustąpić. Każda inna średnia droga, jest droga fałszywa. Idąc za wyrozumowaniem wyrzeczonem w sprawozdaniu dyrekcyi, mogła by ona bawić publiczność przewracaniem koziołków, a biorąc od Stanów **4000** złr. m. k. choćby nikt a nikt, jak to się teraz dzieje, do teatru nie chodził, temi pieniędzmi i swoich komedjantów opłacać i połowę jeszcze do kieszeni chować, tym sposobem swoje mniemane ryzyko pokryć. A do tego właściwie też dyrekcya po odejściu najzdolniejszych sceny polskiej członków widocznie dąży. O moralnem oceńieniu tego postępowania nie chcemy dalej się rozwodzić, każdy je dziś w mieście naszem doskonale rozumie, i pojmuje, co ma znaczyć to ryzykowne przedsiębiorstwo naszej dyrekcyi. Jest w tem całem postępowaniu lekceważenie widoczne słusznych powszechności wymagań. Tyle co do źle zrozumianego stanowiska jakie u nas dyrekcya zajmuje. Przejdźmy teraz o ile wypełnia warunki przez fundacyą na nią włożone, które z resztą niczem innem nie są, jeno zwykłemi każdej dyrekcyi obowiązkami.

Wedle fundacyi scena polska ma mieć dobry dramat, tragedyę wyższą i niższą komedję i wodewil. Jakież mamy po temu siły pod zarządem dzisiejszej dyrekcyi?... Do tragedyi lub dramatu trzeba najmniej dwóch kochanków i dwie kochanki, trzeba artysty na bohatyra i artystki na poważniejsze role kobiece, dwóch do ról charakterystycznych, trzeba nareszcie prócz innych ról podrzędnych, ojca i matki

tragicznej, trzeba zatem najmniej dziesięciu celniejszych artystów, do zapełnienia koniecznych ról. Toż samo prawie powiedzieć można o komedyi, z dodatkiem artystki na role naiwne, i dwóch przynajmniej komików do wyższej i niższej komedyi.

Gdybyśmy tedy przystali na to nawet, co z wielką jest szkodą dla samychże artystów, by ciągle przerzucali role swoje i występowali kolejno w tragedyi i komedyi, gdzież znaleźć w dzisiejszym składzie, na jaki nas zredukowała dyrekcya, te najmniej dwunastu celniejszych artystów, bez których przecie każdy to przyzna, żadna w świecie nie obejdzie się scena. Na rolę bohatyrów mamy p. Smochowskiego, rolę pierwszego kochanka może zapewne jako tako oddać p. Kaliciński, a drugiego kochanka choć nader słabo p. Wilkoszewski. Lecz gdzie artyści do ról charakterystycznych, gdzie ojciec tragiczny, gdzie ojciec komiczny? W komedyi jeszcze może tę i owę rolę mniejszej wagi wziąć na siebie p. Henig, w niższej komedyi podrzędnego komika odegra p. Linkowski, któremu już natura sama odmówiła i postawy i głosu, lecz zawsze brakować będzie ojców i figur charakterystycznych. Przecież żadnej z tych ról nie zdoła odegrać p. Ulrych, z głosem swoim przesadnym i monotonnym, nie mówiąc już o panu Eker, najmniejszego talentu niemającym, i o innych którémi na biedę załatać można role podrzędne ale nie główne. Kto zna skład dzisiejszy sceny naszej, nie znajdzie to twierdzenie przesadnem i przyzna że gorzej niema pod słońcem obsadzonej sceny.

Jeżeli tedy co do ról mężkich brakuje połowy prawie wymaganej do kompletu liczby, jeszcze gorzej się dzieje z rolami kobiecemi. Właściwie jest tylko jedna artystka do ról naiwnych. panna Kasprzycka, i na tem koniec. Gdzież bohatyrka, gdzie kochanka jedna i druga, gdzie matka tragiczna i komiczna. Darmo przebiegniemy afiszowe spisy, żadnej z nich nie da się wydobyć treści. Pod zarządem p. Pfeifera jeszcze z artystek następujących składał się komplet teatru: p. Aszperger, panna Radzyńska, pani Sułkowska później pna Kasprzycka; pna Rutkowska, pna Szuszkiewiczówna, panna Targowska i panna Kotowska. Jakież to porównanie z stanem dzisiejszym? 'Jedna tylko panna Kasprzycka pozostała, którą artystką nazwać można.

PannaChełchowska jest ledwie uzdolniona na podrzędne role, niemając ani głosu, ani postawy, ani ruchu należytego. Pani Linkowska zdolna jedynie do ról subretek, pokojówek. Pani Eker równie jak jej mąż żadnego nie objawiła talentu, prócz chyba tego tonu szczególnego, jaki przybiera grając role salonowe, tonu jak może być najmniej salonowego.

Otóż jak widzimy do obsadzenia ról celniejszych w dramacie, tragedyi i komedyi, niemamy jeno pp. Smochowskiego, Kalicińskiego, Wilkoszewskiego, Heniga, Linkowskiego i pannę Kasprzycką. Żeby ze świecą szukać nie znajdzie więcej. — Niechże tu osądzi człowiek najbezstronniejszy, czyli i w jaki sposob da się utworzyć mierna nawet scena z sześciu członków złożona. Bo że dyrekcya podrzędnemi aktorami zapełnia nieraz znakomitsze role, to jest tylko szyderstwo z publiczności, najwięcej w końcu szkodzące samejże dyrekcyi. I zapewne mniejsza by o tę szkodę dyrekcyi było, ale tu nam idzie o szkodę, o krzywdę jakiej powszechność doznaje z przyczyny dyrekcyi.

O wodewilu niema już co nawet mówić, bo jakkolwiek nie wiele ale zawsze śpiewać w nim trzeba, a najzręczniejsza dyrekcya nie wymyśli sposobu śpiewania bez głosu, ani nie wynajdzie w dzisiejszym składzie choćby jednego głosu śpiewnego. Dodamy tu jeszcze wiedzeni szczerą litością dla tych kilku młodych talentów, jakie są w dzisiejszym składzie, że przy takim braku sił dostatecznych i przy takiem kierownictwie, zużyte zostaną niezawodnie przez terazniejszą dyrekcyą, która nie uważając na indiwidualne usposobienia swoich artystów, nie pozwala się im kształcić w pewnym właściwym kierunku, ale niszczy ich przerzucając samowolnie jakby piłkę z roli do roli, z tragicznych w komiczne, z wyższych do niższych.

Nie daje dyrekcya artystom swym dostatecznego czasu do wyuczenia i wystudyowania ról, zostawia im zaledwie po dwa, trzy dni od jednej nowej choćby największej roli do drugiej, nie rozumie tak dalece sztuki dramatycznej, iż każde sumienne wzbranianie się artysty wyuczenia się roli w tak krótkim czasie, bierze za nieuległość dyrektorowi, za bunt przeciwko sobie, za obrazę majestatu swego, za lenistwo.

Takie prowadzenie dobrem być może w teatrze marionetek, gdzie się martwe drzewa kawałki rozmaicie przebierają, i jeden ten sam głos gada za wszystkich za kulisami ukryty; ale na scenie prawdziwej mając do zarządu talenta indiwidualne, chcieć je gwałtem na kształt marionetek używać, jestto okropna odpowiedzialność, mogąca srodze na sumieniu zaciężyć. Przytem nie umie nie tylko pozyskać artystów obcych dla sceny, ale nie zdolen zatrzymać przy scenie i tych, który są. Przez co teatr lwowski traci jednego artystę po drugim, artystów do których zastąpienia nie znajdzie nigdzie równie zdolnych. Pocieszne jest tłumaczenie dyrektora, iż to on sobie życzy ich zatrzymać przy scenie, lecz artyści sami się usuwają. Niestosowne obchodzenie się z artystami, uszczuplanie im co chwila płacy, już i tak skąpo dawniej wymierzonej, oto są prawdziwe przyczyny, dla których porzucają teatr.

Kto zna historyę teatru lwowskiego ten przyzna, że dawniejsze towarzystwo dramatyczne lwowskie inaczej sobie postępowało. Starało się nietylko aby nikogo z kompletu nie utracić, ale usiłowało kompletować się młodszemi artystami, których zszczególniejszą znajomością rzeczy dobierało, jakto poświadczają imiona pani Aszpergerowej, Zameckiej, Palczewskiej, Dawizona, Rejmersa i innych.

Reasumując tedy, cośmy tu powiedzieli, po drodze na której stoi teraz nasza scena polska, upadek zupełny onej

jest nieuchronny. Dowodem i przyczyną tego konieczną jest nierozumienie dyrekcyi własnego stanowiska, i nie wypełnianie obowiązków koniecznych jakie każda dyrekcya teatralna wypełnić powinna, skoro się być dyrekcyą pokusza.

F. Z.

WSPOMNIENIA

Z PODRÓŻY I WYCIECZEK PO KAUKAZIE.

(Dokończenie.)

Góry Ararat stanowią południową granicę Armenii rossyjskiej: od południo-zachodu skaliste i formacyą warstw podobne do południowej ściany kaukaskiego pasma; przeciwnie od północy-wschodu rozrzucają obszerne polany bezwodne.

Z tego ogólnego zarysu geograficznego kształtu kraju, łatwo sobie utworzyć wyobrażenie o rozmaitości klimatu i stanie atmosfery różnych miejsc na Kaukazie i w Gruzyi. Na przestrzeni ziemi objętej pomiędzy 43°, 30′′, i 39° 8′ półn. szerokości, ścieśni onej od wschodu i zachodu dmoma morzami w najbliższej linii na 500 wiorst tylko odległemi, można spotkać się z mrozami Finlandyi i na wysokościach za linią śniegów, podczas lipcowych upałów zamarznąć; jako też ze spieką podzwrotnikową, i w czasie zimy obejść się bez futra i kominkowego ognia. W jednem miejscu powiewa zdrowe powietrze stepów lub gór, orzeźwiając ludy pod palącem niebem południa osiadłe; a tuż obok w nizinach sąsiednich ponad stojącemi i gnijącemi w bagnach wodami, zakładają swe panownnie wieczne febry, zgniłe i żółte gorączki, reumatyzmy i straszne szkorbuty. Takie miejscowości znajdujemy mianowicie w okolicy Gieorgiewska, Kizlara, w Czarnomorzu, również po tamtej stronie Kaukazu, w Guryi, Imeretyi, w nizinach Rionu i wzdłuż brzegów wschodnich morza Czarnego.

W ogóle różność ta i rażąca sprzeczność klimatu i stanu atmosfery zależy od kierunku i kształtu gór i od mórz sąsiednich. Pasmo główne, leżąc poprzek na drodze, wstrzymuje wiatry płynące od północy, i sprawia, że cała prawie równina podkaukaska, mianowicie jej wyniosłości około Stauropola i Alexandrowa, wystawiona na ich przewiewy, doznaje mrozów zwyczajnych w naszym klimacie, pokrywa się grubą warstwą śniegów, niekiedy całą zimę leżących Tymczasem po za górami ledwie śnieg znany, i w niektórych miejscach jest osobliwością. Po tej stronie gór najczęściej całe lato panują susze, wypalające wszelką zieloność na stepach, ponad któremi wówczas unoszą się chmury żarłocznej szarańczy; od strony zaś południowej gór, w nizinach wystawionych na wyziewy mórz Czarnego i Kaspijskiego, podczas nawet lata, kłęby chmur rozbijając się o niebotyczne okalające ich góry, spuszczają obfite i ulewne niekiedy deszcze, całą atmosferę odświeżające. Pod wpływem takichto sprzeczności klimatycznych i atmosferycznych najrozmaiciej natura zbogaca kraje kaukazkie. Gdy jedne z nich obfitują w najwyszukańsze owoce południowe, olbrzymiej wielkości jabłka, pigwy, brzoskwinie, granaty, włoski orzech, winogrona, ogromne kawony i melony, mieszkańcy tuż sąsiadującej doliny kartofle i fasolę za osobliwość uważają. Jedne miejsca pokryte odwiecznemi lasami, obfitują w drzewo budulcowe, jak np. wąwozy i urwiska północnej strony Kaukazu, lub dolina Rionu; inne, jak cały prawie step przedkaukaski, las uważa za osobliwość, i śród zim ostrych mieszkańcy opalają chaty suszonym nawozem lub trzciną.

Teraz łatwo pojąć, z kąd tak sprzeczne o Kaukazie krążą zdania. Stary wiarus powracający z bliznami z tej krainy, rozpowiada z zapałem o tem co widział i czego tam doświadczył; ale w opowiadaniu miesza najróżnorodniejsze wypadki i miejscowości. Słuchacz nie umie zdać sobie sprawy z tego, co słyszy. A inny znowu zwiedziwszy ten kraj, prawi dziwy niestworzone, fantazyą uzupełniając to, co niedokladnie poznał lub usłyszał. Tak i piszący o Kaukazie albo nam go ze zbyt poetycznej odmalowali strony, podwyższając piękności tak natury jako i zalety mieszkańców; lub przedstawiają ich okrutnemi i drapieżnemi zwierzętami. W prawdzie wszystkiego tam jest potrosze: dzikość i okrucieństwo obok tkliwych uczuć przyjaźni lub miłości, ponure i straszne przepaści i skał urwiska obok kwitnących rozłogów; zabawa wesoła i śpiew górki mieszają się z wystrzałami z pistoletu, a jej wzrok jasny błyska obok połysku kindżała, którym wywija w tańcu młody jej narzeczony.

Tak więc kraje kaukaskie, to jest właściwy Kaukaz i Zakaukaz zwany jeszcze Gruzyą, leżąc między Czarnem i Kaspijskiem morzem, rozciągają się od gór na północ aż do ziemi Kozaków Dońskich i granic gubernii astrachańskiej; na południe zaś do granic Turcyi Azyatyckiej i Persyi, gdzie niebotyczny Ararat stanowi jakby kopiec graniczny kraju. Stanowią one ogromny ośmiokąt nieforemny, którego największa szerokość od ujścia w morze Czarne rzeki Czorochy, aż do przylądka Apszerońskiego, leżącego na morzu Kaspijskiem, wynosi do 100 mil czyli 700 wiorst; a największa dlugość w linii prostej od ostatniego punktu południowego, to jest od wgięcia pogranicznej rzeki Araxa aż do Kumy, płynącej granicą północną, wynosi przeszło 121 mil czyli 850 wiorst. Powierzchnia zaś całego kraju tego, podług Platona Zubowa ma wynosić około 460.000 wiorst kwadratowych.

Część północna, czyli Kaukaz właściwy obejmuje: gubernią stauropolską, ziemię Kozaków Czarnomorskich, Dagestan i liczne pokolenia górali; część zaś południowa czyli Gruzya w ogólnem rozumieniu, dzieląca się dzisiaj na 5 gubernij, (tyfliską, kutajską, erywańską, szemachińską i derbentską), obejmuje owe cztery części, na które dzielił się kraj zakaukaski w początkach ery chrześciańskiej, to jest:

Gruzyą właściwą czyli Iberyą, leżącą w pośrodku; Lazykę czyli dolinę Rionu od zachodu obejmującą Guryą meretyą i Mingrelią; Armenią od południa, i starożytną Albanią od wschodu, której mieszkańcy, jeszcze za czasów greckich mówili 26tu różnemi językami, a która i dzisiaj zaludniona jest przez liczne pokolenia mahometańskie co obsiadły gęsto brzegi morza Kaspijskiego, okolając; cały wschodni kraniec kaukaskiego grzbietu.

[B. W.] W. D.

Rozmaitość.

* Jutro o godzinie pół do piątej daje pani Rywacka ostatni koncert w sali redutowej, w której bierze udział pięciu dyletantów, pan Köhler i pani Aszpergerowa. Pani Rywacka spiewać będzie arie z oper: Emma di Antiochia, il Templario, Mazurek „Tyś niewierna w duecie z panem Köhler, romans le Soupir, Oczy czarne, romans dwie rywalki; Walc Riccego, i romans Posełka. Jak widzimy jestto piękny i bogaty wybór sztuk w których pani Rywacka będzie miała sposobność rozwinąć talent swój w najrozmaitszych odcieniach i pozostawić miłą po sobie pamiątkę we Lwowie Opuszczającą nasze miasto artystkę polkę która tyle przyjemnych swym spiewem sprawiła nam wieczorów, publiczność uczci zapewne licznem zebraniem i pożegna z oznaką szczerego udziału.

* Wczoraj na przedstawieniu teatralnem polskiem było wszystkich widzów razem 25. Wliczeni są do tego, bywający z urzędu w teatrze, równie jak i aktorowie, ktorzy nie zatrudnieni w sztuce, z obowiązku przedstawiali publiczność.

Przyjechali od dnia 3. do 5. Maja. do Lwowa.

PP. Golejewski Józef hr. z Wiednia. Cielecki Leopold z Krakowa. Mier Henryk hr. z Buska. Torosiewicz Michał z Połtwy. Pilatowski Marceli z Bóbrki. Brunicki Albert bar. z Podhorzec. Dobrzański Stanisłw z Daszowa. Arciszewski Teofil z Wolicy. Manasterski Józef z Błażowa.

PP. Pohorecki Kajetan z Horpina. Dobek Konstanty z Sarnik. Gottleb Quirin z Dołhomościsk. Kłodziński Adam z Parchacza. Wysoczański. z Jakimowa. Karnicki hr. Teodor z Michałowic. Lanckoroński Stanisław hr. ze Żółkwi. Kielanawski Tytus z Zelechowa. Osmulski Rafał z Sawczyna. Wysocki z Hrehorowa.

Wyjechali od dnia 3. do 5. Maja ze Lwowa:

PP. Smarzewski Józef, do Moczerad. Laskowski Wincenty, do Tarnowa. Walewski Aleksander, do Kołodna. Drohojowski Ludwik, do Polski. Papara Henryk do Zubowmostów.

PP. Mierzyński Rafał, do Baryłowa. Papara Stanisław do Doliny. Kłodziński Adam do Parchacza. Micewski Edward. do Tuczemp. Dzieduszycki Włodzimierz hr. do Przemyśla. Janiszewski Ignacy, do Żurawna. Młyński Henryk, do Czernicy. Pietruski Oswald, do Stanisławowa.

Kurs telegrafowany z Wiednia 4. b. m. o g. 2 popołud.

Augsburg za 100 złr. .	$127\frac{3}{4}$	Pożyczka 5% $79\frac{11}{16}$ $4\frac{1}{2}$	69
Hamburg za 100 tal. banco	$93\frac{1}{2}$	Akcye banku	974
Londyn za 1 funt szterl.,	12 37	Kolej północna	$1857\frac{1}{2}$
Medyolan za 300 lirów	$129\frac{1}{4}$	Obl. ind.	$73\frac{3}{2}$
Paryż za 300 franków .	$148\frac{1}{2}$	Nowa pożyczka z loterya	$100\frac{1}{8}$
Agio duk. ces. . . .	31	Pożyczka narodowa . .	$84\frac{1}{8}$

Wczorajszy **Kurs Lwowski** Gotówka towarem.

	Gotówka				towarem			
Dukat holenderski	złr.	5	kr.	50	złr.	5	kr.	54
Dukat cesarski	«	5	»	54	»	5	«	58
Półimperyał zł. rosyjski	«	10	«	10	»	10	«	12
Rubel srebrny rosyjski	»	1	«	58	«	1	»	59
Talar pruski	»	1	«	54	»	1	«	56
Polski kurant i pieciozłotówka . . .	»	1	«	25	»	1	«	26
Galicyjskie listy zastawne za 100 zł. bez kuponu	»	92	«	40	»	93	«	20
Galicyjskie obligacye indemnizacyjne bez kuponu		72	»	30	»	73	»	—
5 proc. pożyczka narodowa		83	»	30	»	84	«	30

Lwów, 4. Maja. Na dzisiejszym targu płacono korzec pszenicy ozimej po **37** złr. 30 kr. do 40 złr. — kr. — Żyta po 28 złr. — kr. do 28 złr. 30 kr. Jeczmienia po 22 złr. — kr do 22 złr. 30 kr. Owsa po 16 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po — złr. — kr. do — złr. — kr. — Ziemniaków po 12 złr. 30 do 15 złr. — kr. Sag drzewa bukowego — złr. — kr. do 65 złr. — kr. Sosnowego po — złr. — kr. do — złr. w. w. Cetnar siana 6 złr. 10 kr. do 6 złr. 53 kr. Centnar słomy 2 złr. 38 kr. do 4 złr. 30 kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity bez opłaty 4 Złr. 10 kr. do 4 złr. 25 kr. w. w.

Do dzisiejszego numeru dołączony jest dodatek.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.** Z drukarni **E. Winiarza.**